

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna

w całej Austrii:

rocznie 8 złr. — półrocznie

4 złr. — kwartalnie 2 złr.

w Niemczech:

rocznie 5 tal. — półrocznie

2 tal. 15 sgr. — kwartalnie

1 tal. 8 sgr.

we Francji:

rocznie 21 fr. — półrocznie

11 fr. — kwartalnie 6 fr.

Numer pojedynczy 20 ct.

Redakcja: Ulica

watowa Nr. 19.

ŚWIAT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: O poezji XIX wieku w Polsce i we Francji, przez Wacława Gasztowta. (C. d.) — Cyd, według Romancero hiszpańskiego z przekładu Herdera, przez Władysława hr. Tarnowskiego. (wiersz). — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (C. d.) — O przywilejach i ceremoniach w świecie dyplomatycznym, przez dr. Gustawa Roszkowskiego. (C. d.) — W Jesieni, komedia w jednym akcie, przez Władysława hr. Koziebrodzkiego. (C. d.) — Przegląd literacki. — Przegląd teatralny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

O poezji XIX wieku w Polsce i we Francji,

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

(Ciąg

Pomijając jako mniejszej wagi poezję Odyńca, Korsaka i Chodźki, przystępuję do dzieł poetów ukraińskich Malczewskiego i Goszczyńskiego, a mianowicie do poematów „Maryi” i „Zamku Kaniowskiego,” w których łatwo rozeznaczyć dwa żywioły, pierwszy naśladowany z poetów angielskich, a szczególnie Byrona, a stanowiący tylko zewnętrzną formę i jakoby budowę, architektonikę poematu, drugi zaś polsko-ukraiński objawiający się tak w wyborze przedmiotu, jak w nastroju ducha każdego poety. Podczas kiedy pierwszy opiewa melańcholię rozległe stepy ukraińskie, i przysłuchuje się podziemnym głosom zmarłej przeszłości, opowiadając zbrodnię dumnego magnata, drugi zalewa te same stepy krwią szlachecką wylaną pod nożem hajdamaków. Malczewski, rozmarzony kochanek smutnej i pięknej Ukrainy, patrzy na nią z gotyckiego okna zamku i wszystkie jej boleści chwytą, jak powiada Słowacki: „słuchem anioła i myślą anioła,” opisy jego oddają szczególnie stronę duchową obrazu, materyalne szczegóły nikną prawie w tej idealnej pieśni, więcej stosunku mającej z muzyką niż z malarstwem. Goszczyński zaś mimo fantastyczności obrazów, mimo ugrozy, jaką napelnia duszę czytelnika, maluje naturę ukraińską bardziej realnie, obyczaje ludu, wściekłość rozjuszonych Kozaków i chłopów, rozpustę panów i półpanków w całej prawdzie i w całej nagości przedstawiając, tak że przeczytawszy poezję Zalewskiego, Malczewskiego i Goszczyńskiego, mamy przed oczyma tę samą Ukrainę, ale z innego stanowiska, innymi kolorami odmalowaną — a zawsze nęcącą nas czarem swoim niewypowiedzianym, poetycznością swoją tak głęboką i tak rozmaitą.

Jest to w rzeczy samej jedna z najwybitniejszych różnic, jakie nas uderzają w porównaniu romantycznej poezji polskiej i francuskiej w tej pierwszej epoce: poezja polska nie tylko że jest czysto-polska, podczas kiedy francuska jest więcej humanitarna i kosmopolityczna, ale jeszcze ta pierwsza dzieli się na trzy główne działy,

dalszy.)
odpowiadające trzem dzielnicom dawnej Rzeczypospolitej, to jest na poezję litewską, ukraińską i mało-polską, bo Wielko-polska jeszcze zostaje wierna klasycyzmowi, wtenczas kiedy francuska poezja nie zna tych różnic. Centralizacja wydała tu swoje owoce; wszyscy poeci z Paryża śpiewają dla całej Francji, możnaby nawet powiedzieć dla całej Europy. W ostatniej chwili przed powstaniem Listopadowem, Warszawa będzie wprawdzie ogniskiem ruchu literackiego, zbiorą się tam prawie wszyscy poeci nasi z wyjątkiem największego z nich, ale inne już cele narzucają się ich działalności; praca polityczna staje się ich głównym zadaniem — poezję zaś czerpali każdy z prowincji swojej.

Ztąd może w części pochodzi i cecha narodowa poezji naszej. Narodowość bowiem w poezji nie na tem tylko zależy, aby miano ogólne pojęcie o powinnościach wszystkich obywateli, wynikających z obecnego położenia politycznego ojczyzny: to wystarczy dla polityki dziennikarzy lub mężów stanu; ale poezja, która na tem ograniczyła swoje narodowe widoki, wydałaby tylko pamflety i satyry polityczne, mogące być bardzo pożytecznymi, jak nimi były na przykład pieśni Delavigne'a lub Bérangera poetyczna wojna krzyżowa za Grecyą, nie wyrażając jednak w całej pełni duszy całego narodu. Naród składa się z różnych części składowych, jak ciało składa się z członków, jak harmonia składa się z akordów: poezja narodowa powinna więc być taką właśnie harmonią skupiającą w jedno ognisko różne oddźwięki wszystkich dzielnic kraju z wszystkich sfer jego duchowych. Rozmaitość jest równie jej potrzebna, jak jedność.

Jedność ta była zresztą najzupełniejszą. Jedno wyższe natchnienie góruje nad wszystkimi innemi. Piewca Grażyny, jak piewca Wiesława, autor Dum i Rusalek, jak poeta Maryi i twórca Zamku Kaniowskiego mają jeden ideał: a tym ideałem jest — ojczyzna. Napróżno naśladować Byrona, lub Goethego, lub Schillera, napróżno opiewać bliżką lub daleką przeszłość, wszyscy

Główne agencje: Lwowie, księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Zupański ego. Rekopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania. Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleźć w „Świecie” wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadesłanie Redakcji egzemplarzy takowych.



mają oczy zwrócone ku przyszłości, wszyscy dla niej pracują, budząc każdy po swojemu miłość do Polski nieszczęśliwej i żądze odzyskania niepodległości.

Nie tak jest we Francji; a różnica położenia politycznego nie wystarcza do wytłumaczenia tej różnicy stanowiska. Niektórzy krytycy francuzcy, a między innymi p. Nisard (*Histoire de la littérature française*) uważają bardzo słusznie, że literatura francuzka, tak jak i rzymska w starożytności, nie zamyka się nigdy ściśle w granicach narodowości, że jest prawie zawsze ogólnoludzka, że rozbiiera kwestye obchodzące ludzkość całą, że we filozofii dąży za prawdą, w sztuce za pięknem, nie troszcząc się o siebie, bezinteresownie, że tak powiem, nie znając egoistycznego partykularyzmu, jaki niektórym narodom zarzucić można. Uwaga ta słuszną jest, powtarzam, i głęboką chociaż należy dodać do jej uzupełnienia, że, mimo wszystkiego, odrębny gieniusz narodu francuzkiego bezwiednie odbija się w tej bezinteresownej dla ludzkości pracy: że goniąc w filozofii za prawdą, poprzestaje na takiej tylko prawdzie, która jest umysłowi francuzkiemu przystępna, a którą nazywają *vérité de sens commun* i że goniąc w sztuce za pięknem, musi także podlegać wpływom historycznym i miejscowym, które jej zmysł estetyczny często spaczają, i tworzą sztukę, do której inne narody przyznaćby się nie powinny. Takim naprzykład zjawiskiem była tragedia klasyczna w XVII wieku. Co do dążności samej literatury francuzkiej, jest ona niezaprzeczenie w ogóle taką, jak ją określała wyżej wspomnieni krytycy.

Ale nie idzie za tem, jak oniby chcieli wmówić w czytelników, żeby to stanowiło wszechstronną wyższość literatury francuzkiej po nad wszystkimi innemi, więcej narodowemi, mniej przystępnymi wszystkim, jaką jest np. poezya nasza XIX wieku. Pracować dla ludzkości, jest bez wątpienia najwyższem zadaniem każdego człowieka i każdego narodu: ale pierwszym właśnie szczeblem tej

pracy, jest dla każdego rozwiniecie własnych sił i utrzymanie własnego istnienia; można ludzkości przysłużyć się tylko samym sobą, a myśleć o sobie, jest to myśleć o wszystkich. Wszak człowiek ma powinności względem siebie, od których zawisły powinności jego względem innych. Tak się rzecz ma i z narodami. Polska o tem zapomniała zbyt często i to było jedną z przyczyn jej upadku. Kto wie, czy ta mniemana bezinteresowność, która zazwyczaj nie idzie bez wielkiej pychy i zarozumiałości, nie gotuje Francji takiegoż upadku?

Nie zapominając więc bynajmniej wielkich zasług położonych przez Francję dla ludzkości tak na literackim jak na politycznym polu, podziwiając nawet dążność jej literatury, dodać należy, że dążność ta ogólnoludzka powinna istnieć w każdej literaturze, ale przy drugiej dążności czysto narodowej. A wracając do naszego przedmiotu powiedzielibyśmy, że pierwsza powinna się szczególnie objawiać w prozie, druga zaś w poezyi. Pod względem prozy francuzka literatura może śmiało uchodzić za najpierwszą w świecie, to prawda, słusznie Michelet nazwał gdzieś Francję *le pays de la prose*. Ale nie uważając wprowadzenia prozaiczności owej do poezyi za postęp, powinniśmy przyjść do tej konkluzji, że nawet poezya romantyczna francuzka, jak dawniej klasyczna, jest raczej prozą artystycznie, po mistrzowsku rymowaną, prozą przyjemniejszą, silniejszą lub wdzięczniejszą, ale prozą tylko. Polska zaś, która nie jest niestety krajem prozy ani w literaturze, ani w polityce, jest za to krajem poezyi, a jej rozrost potężny w XIX wieku można uważać za najszybszy owoc poezyi, jaki ludzkość wydała od biblijnych czasów.

Rozbieranie następującego okresu lepiej jeszcze to wykaże: bo każda z poezyi, o których mówimy, po roku 1830 lepiej uwydatnia dążność swoją i kierunek.

C Y D

według Romancero Hiszpańskiego,
z przekładu Herdera

WŁADYSŁAW HR. FARNOWSKI.

C Y D
pod FERDYNANDEM WIELKIM

Smutny siedział Don Diego
Iście nikt tak smutny nie był;
A rozmyślał dniem i nocą
Tylko domu swego srom —
Tylko hańbę domu Lainez
O! starego w chwałę domu,
Co Inigos przeszedł w sławie
II Arbacos był wyprowadził

Bardzo zmartwion i zgrzybiały
Wszystkich dzieł jego ducha
Wych. Rozmaitości je jak jednok
Kiedy jego wróg Don Gormaz
Ufny w przemoc triumfuje.
Bez pokarmu i bezsenności
Wzrok ponury wlepił w ziemię,
Pieśń Gormaz, ongi, broni,
Nie przekracza swego progu;
Do przyjaciół nie przemówi,
Głuchy na przyjaźni słowa
Kiedy przyjdą go pocieszać,
Bo mu zda się, że sam oddech
Zhaibionego — truje druhów...

Wreszcie zrzucił straszne brzemie
Niemych smutków — z serca, skałę —
Kazał przyzwać swoich synów,
Lecz przemówił sam nie raczył.
Wszystkich ręce związał silnie
W ręki swojej uściśnieniem;
Próżno byszącą żłami żreć,
Proszą go o zmiłowanie...
Prawie był już bez nadziei,
Gdy najmłodszy z jego synów
Don Rodrigo, wznosił mu ducha
I nadzieję rozplomieniał.
Rozplomieniał wzrok tygrysa,
Zaszedł ojca z tyłu cicho,
— Ojciec! — rzecze, — zapominasz
— Ktoś ty jest — i ktoś ja jest!
Gdybym nie był wziął z twojej dłoni
Mej rycejskiej, ongi, broni,
Toby sztylet już był skrocił
— Hanby srom, co cie zasmucił!
Jak z rozmarzłych gór trysnęły
Lzy ojcowskie pełnymi źródłom.
— Ty Rodrigo! obejmując
Syna, rzekł „o! tyś mój syn!

Twój gniew spokój mi powraca
Twoje milczenie mnie trwożyło!
Nie przeciwko mnie, twoje ramie
Na naszego domu wroga
Wzniesiesz synu!

„Gdzie on jest?”
Krzyknął Rodryg, „kto naszego
Domu śmie uwlazać czi!?”
Ledwie ojcu dał powiedzieć.

Wysłuchawszy hańby domu
W myślach odszedł sam, ponuro,
Rodryg, — swą rozmyśla młodzież
I potęgę wrogów mierzy...

Tam, w Asturji dzikich górach
Liczy Gormaz tysiąc druhów,
Pierwszy w dzielnej radzie króla,
Pierwszy w bojach krwawych pól.
Lecz gdy hańbę ojca zważy,
Kiedy zważy jego srom,
Czem mu wszystko inne? Nieba!
Nieba! dajcie pomsty grom!
Męstwo dłużne honorowi,
Czyż ma młodzież być zawada?
W dobrym rodzie dobrej sławie
Dziecię nawet — głowę da!

Szybko porwał miecz ze ściany,
Którym niegdyś posługiwał
Sie Mundazza Bastard dzielny.
Smutnie rdzawy wisiał miecz
Jakby w szczerbach poczerwiałych
Krył żalobę po swym Panu.
Zanim Rodryg go przypasał
Tak się pierwej ozwał doń:
„Wiedz o dzielne ty narzędzie,
Że cie chwytą chrobre ramie,
Równie dzielne jak Mundazzy,
Choć mu jeszcze braknie siły —
Lecz przenigdy wstecz nie cofnie
Razów twoich w dzikim boju...
Tys jest dzielny, z twardej stali
Dzielniejsze ma serce jest!
Ten, któremu teraz służył
Będzie godzien poprzednika —
Gdyby godnym ciebie nie był

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA S.A.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Wyjazd z Odessy. — Powrót do Lulince.

Przy końcu września opuściliśmy Odessę. Oficerowie *brandwachty* odprowadzili nas aż do baryery Tamożni. Skarabelli płakał rozstając się z nami i jam się też rozbeczał, gdy mnie raz ostatni uściskał. Mówię ostatni, bośmy się już nigdy więcej nie spotkali ani z nim, ani z poczciwym Zajcewskim. Smutny byłem nad wyrazy przez cały ciąg kilkudniowej podróży. Łaknąłem morza, a morza nie było! Step dziki, niemy, monotony nie mógł mi zastąpić olbrzymiej harmonii fal rozkołysanych, co tyle miały dla mnie objawień, tyle odkrywały zjawisk i ducha mego w takie unosili poloty! Nie przedko oswoiłem się ja z nowym trybem życia. Nic mi nie zajmowało, nie bawiło. We wszystkim znajdowałem czczość, bezbarwność i tęsknotę. Lecz cóż się oprze potędze czasu? W miarę postępu dni smutek mój ubywał, zacierały się

„Już nie służyłbyś — nikomu!
„Boby cie w jelita cieple
„Skrzył przed hańbą! Naprzód Cyd!”
Krzyknął, „oto twa godzina
„Sprawiedliwej zemsty czas!”
Cicho, tak że nikt nie wiedział
Wyszedł z ojcow swoich domu
I nim krótki czas przeminął
Już go dojrzał hardy wróg...

Wśród dziedzińca zamkowego
Don Rodrigo Don Gormaza
Spotkał — spotkał samotnego
I przemówił temi słowy:
— „Czyś znał syna Don Diega
„O szlachetny Don Gormazie,
„Kiedy śmiałeś ściągnąć rękę
„Na czcigodne to oblicze?...
„Czyś przypomniał, że Don Diego
„Od Layn Calwa się wywodzi?
„Że nie nie ma zaniejzego
„Nad ten ród, a tarcz, a krew?...
„Czyś zapomniał, że gdy ja żyw,
„Nikt z śmiertelnych na tej ziemi,
„Ledwie Pan, co niebios królem,
„Mógł bezkarnie to uczynić!
„Czy wiesz, odrzekł Gormaz dumny,
„Czem połowa jest żywota,
„O młodzieńcze?... „Wiem!” rzekł Rodryg
„O! wiem o tem bardzo w czas —
„Połowa jest: szlachetnemu
„Cześć okazać a połowa:
„Skarcić pychę wyniosłego
„Choć ostatnia kropla krwi —
„I odemścić hańbę domu!
A gdy to rzekł, przebódl wzrokiem
Co jak węgiel płonął, wroga,
Aż zażgrzytał w szyderstw głos:
— „Czegoż chcesz młodzieńcze krewki?”
— „Twojej głowy hrabio Gormaz!”
Odrzekł Cyd — „i to przysięgam!”
— „Cacek chcesz dzieciną marną?”
Rzekł Don Gormaz, „zasłużyłeś
„Pazia plagi na kobiercu!”
O! wy wszyscy niebiosy świeci,
Jakże Cyd drgnął od tych słów!

(C. d. n.)

wrażenia i pamięć o Odessie mierzcha. Lulince odzyskały dla mnie stopniowo dawny urok i tęsknoty nie stało.

Jeżeli sobie czytelnik przypomina, mówiłem już w jednym z poprzednich rozdziałów o stosunkach ówczesnego obywatelstwa naszego z rządem. Były to stosunki spokojne i łagodne. Rząd nie wywierał presji, nie bronił eksploatować chłopą, nie kładł tamy zachciankom. Czegoż trzeba było więcej ogółowi głęboko w materializmie zastrzęgłemu? Ztąd to i wojskowi moskiewscy, kraj nasz nawodniający szeroko, doznawali uprzejmej w polskich domach gościnności. A że z łaski bezpłatnej pańszczyzny i płodnorodnej gleby nie brakło groza w kieszeniach, ani dobrego winka w piwnicach, ani obfitej strawy na stołach, nic dziwnego, że moskiewskie rycerstwo lgnęło do panów obywateli i odwiedzało ich gorliwie.

W pobliżu majątku pani starościny Horodelskiej, babki mojej, leżały Ilince, miasteczko Sangusz-

ków, w którym konsystował pułk Wiatski piechotny, do 2giej armii Wittgensteina należący. Dowódcą onego był Pestel, człek zdolny, wykształcony i ambitny. Służąc w gwardyi cesarskiej aż do stopnia pułkownika, należał on do najwyższych sfer stołecznego towarzystwa, a że się na służbowej arenie świetnie zalecić potrafił, car Aleksander I zrobił go swoim fligel-adjutantem i mianował dowódcą pułku.

Często bywał Pestel u krewnego naszego, marszałka Przyluskiego, w Napadówce, gdzie bywało po kilka miesięcy z nauczycielem moim przesiadywał. Rozmowny i dowcipny, a do tego salonową oglądał celujący, Pestel nie mógł nie być pożądanym gościem tam, gdzie się na nim poznać umiano. Napadały nań jednak chwile zadumania, z którego się gwałtownie oswobadzał, żeby nie przerwać nici dyalogu, a tem samem nie ubliżyć osobom, z którymi toczył rozmowę. Te napady rozrągnięcia przejawiały się w nim często. Nagliły go nieraz szukać samotności dla swobodniejszego oddania się myślom, które go zajmowały. Wysuwał się wtedy niezauważnie z salonu i spieszył skryć się na chwilę w najciemniejszych alejach ogrodu.

Myślano, że to były ataki melancholii, symptomy sercowej tęsknoty. Pokazało się później, że nie to wcale. On stał już wtedy na czele obszernego spisku, u steru groźnego przedsięwzięcia. Czuli się zatem winnym względnie rządu. Widział otchłań przed sobą, miecz Damoklesa nad sobą. Cóż dziwnego, że miotany niespokojnością i pochłonięty głębią politycznych kombinacji musiał czasami ogołacać twarz swoją z przybranej maski wesela, żeby odetchnąć swobodniej na ustroniu i skupić się w sobie.

Pewnego dnia wszedł do mego pokoju podczas lekcji. Na ścianie wisiał wizerunek Napoleona I w historycznym kapelusiku, z rękoma założonemi na piersiach. Pestel wlepił weń oczy, pograżył się w myśli, potem wyciągnął czarny piłmaż z kapelusza swego, włożył go *en bataille* na głowę, skrzyżował ręce *à la Napoleon* i stanawszy w tej pozie przedemną, zapytał żartem niby:

— *Trouvez vous que je lui ressemble?*

— *Oui!* odpowiedziałem i rzeczywiście, jeżeli nie twarzą, to formą ciała i przybraną manierą przypominał nieco w tym momencie wielkiego cesarza. Rad był widocznie z mojej odpowiedzi. Wziąłem to za prosty żarcik z jego strony. Pokazało się jednak później, że ta myśl jego zewnętrznego podobieństwa z Napoleonem jednożyła się w nim z dążeniem do podobieństwa politycznego, albowiem następstwa pokazały, że przyjmując główne kierownictwo spisku z celem obalenia monarchizmu na korzyść republikańskiego pryncypu w Rosyi, zawarował sobie zwierzchniczą, konsularną dyktaturę na wzór bonapartowskiej — w jakich widokach na przyszłość? pojąć nie mogę. Jużci nie sądzię, żeby się mu udało zostać cesarzem dla dopełnienia podobieństwa z Napoleonem.

Bądź co bądź spisek ten, co tyle ofiar kosztował, nie dowodził bynajmniej wielkich politycznych poglądów w ludziach, co myśl pierwotną onego podali. Nie wybiła jeszcze wtedy godzina reform radykalnych w państwowym ustroju Rosyi. Cała jej potęga spoczywała na jednej li tylko centralizacji władzy monarchicznej, na caracie absolutnym, wyższym nad prawo i Bogu tylko odpowiedzialnym. Do republikańskich instytucji nie była jeszcze usposobiona, a ten, coby je chciał wprowadzić gwałtem na stanowisko rządzącej zasady, nie dopiąłby zamiaru i naraziłby kraj na bezład chaotyczny, wiodący za sobą upadek jednolitości, narodowych przekonań i rozprężenia sił społecznego ducha.

Czemu przypisać, że tej idei błędnej a więc niepraktycznej tyłu się chwyciło? Że wyższe nawet umysły, jak np. Rylejew, *) bracia Bestużewy, **) Rajewscy, Murawiew-apostoł, Michał Orłów i Pestel obrali ją sobie za sztandar, za *palladium*, za cel najwyższy dążeń i ofiary? Co dało wreszcie byt tej idei? Zkąd się wzięła ona pośród ludzi nie posiadających ani liberalnych tradycji, ani rodowych pociągów do emancypacji z pod jarzma caratu, któremu ojciec ich i dziady kornie hołdowali widząc w nim żywy obraz majestatu i potęgi samego Boga?

Rozwiązanie kwestyi tych nie trudne. Idea wolności podobna słońcu. Ludzie zachwycają się jej promienistością i olśnieni blaskiem cudnego zjawiska gonią za niem na oślep, nieświadomi grozących im przepaści, niebacznici na nie. Tak się też stało i w Rosyi. Młódz bogatsza, kształcona za obrebram narodowych tradycji i pojęć, olśniona blaskiem innoziemnych liberalnych utopii, przestała stopniowo czuć, myśleć, wierzyć po rosyjsku i nie prawie krom nazwiska swego nie zachowała. Było wtedy dobrym tonem odywać się z pewnym rodzajem pogardy o swojej ojczyźnie, wstydzic się jej, słowo nawet rodzinne, dźwięczne i poważne lekką pianą francuzkiego żargonu zastępywać. Nic dziwnego, że na pokoleniu tak usposobionem łatwo się zaszczepiły zachcianki naśladownictwa ruchów politycznych Zachodu, dających rozgłos imieniowi a tem samem dogadzających osobistej próżności. Wzięto się więc do tajemnej reakcji przeciw rządowi, do negacji wszystkiego co święte, do sarkazmu nad wszystkiem, co nie zagraniczne. Rząd wyrzekł swoje hola! zamilkły wprawdzie usta, lecz natomiast gniew wewnątrz przemówił. Zaczęto łączyć się w koterie opozycyjne, zawiązywać tajne stowarzyszenia *pseudo*-polityczne, małpować włoską *carboneria*, francuski *jacobinisme*, germańskie *Tugendbündel*, inicjować się do łóż wolnomularskich, ***) które dziwną jakąś tolerancją rządu istniały otwarcie w Petersburgu, Moskwie i miały swoje filie na prowincye. We wszystkich tych konspiracyjnych towarzystwach nie było ani stanowczego planu, ani jednolitości dążeń. Były to, że tak powiem, konglomeraty kontrastów, zlepki stron ujemnych inteligencji i ducha. Chciało się czegoś — ale czego?... sami nie wiedzieli. Wprawdzie godła, jakie sobie obrali, były chwalebne i wzniosłe — prawo człowieka, braterstwo ludów, postęp, wolność polityczna i osobista, piękne promienie mrzonki wszystkich szlachetnych marzycieli! Lecz każdy tłómaczył je po swojemu, inaczej określał, inaczej zastosowywał, każdy usiłował wypiętnować na nich swoje *Ja* ze szkodą ogólnej harmonii środków i celu, każdy się wysuwał naprzód i nieraz *veto!* najmniej zdolnego uniękczemniało w jednej chwili mozolne kombinacje zdolniejszych.

Takim był stan rzeczy, kiedy Pestel został inicjowanym do towarzystwa. Pojął on od razu niedorzeczność dotychczasowego ustroju onego. Zgorszył się niesfornością, jaka w niem panowała i brakiem ognia klas doń przypuszczonych. Silniejszą wolą obdarzony a przytem niecierpliwy czynu, pochwycił samodzielnie ster spisku, skupił rozpieczętę żywioły onego, urządził i pomnożył środki propagandy, określił stanowczo kierunek

*) Poeta — autor *Wojnarowskiego*.

**) Jeden z nich słynie w literaturze rosyjskiej pod pseudonimem Marliński.

***) Główne Łoże petersburskie nosiło nazwę: *La grande Astrée, La Palestine, Les Amis réunis*. Wielkim mistrzem tej ostatniej był jeden z najwyższych dygnitarzy państwa, hrabia Mussin-Puszkina-Brus. Mistrzem hr. Feliks Strutyński.

zbiorowego dążenia. Za główny cel położył wytopienie dynastji, za główne narzędzia państwowej reformy obrał armie, tę jedyną podporę tronu. Pod jego zwierzchnictwem spisek odmielił zupełnie naturę swoją. Otrząsł się z poprzedniczej firmy demokratycznej (niestosownej aż do śmieszności, bo lud, *demos*, nietylko nie stanowił gruntu konspiracyi, lecz zgniótłby ją, gdyby o niej wiedział) a stał się szlacheckim, arystokratycznym, militarnym. Adepci jego zaczęli nurtować gorliwie 2gą armie Wittgensteina — inni uderzyli na gwardję carską. Chcąc wzmożyć sprawę swoją przymierzem dzielnej narodowości pobratymczej, Pestel zawiązał preliminarne umowy z towarzystwem liberalnem polskiem, które wyszedł w Warszawie, iż z którym zawarł wkrótce sojusz uroczysty na podstawie warunków zobopólnego braterstwa. Skutkiem czego wyznaczono ze strony polskiej kilku komisarzy, niby agentów dyplomatycznych, przy towarzystwie rosyjskiem, a ponieważ centrem onego była Ukraina, wybór padł na miejscowych obywateli ukraińskich Antoniego Czarkowskiego, Anastazego Grodeckiego, Feliksa Ciszewskiego, ludzi miłujących szczerze sprawę ojczystą, świadomych gruntownie jej dziejów i biegłych w ocenieniu jej politycznego interesu.

Rok 1823 zastał tedy elementa spisku szeroko rozwinięte w armji Wittgensteina. Wszyscy prawie z małym wyjątkiem pułkownicy korpusów 6go i 7go (Sabaniewa i Rudziewicza) byli nimi zarażeni. Szefowie niektórych batalionów, ba, nawet mnogich kompanii, należeli także do spisku. Jeden tylko żołnierz, główna postać akcji o niczem nie wiedział, bo się mu zwierzyć nie ośmielono przedwcześnie. Co do generałów nie wiem czy oprócz ks. Wołchońskiego, Mordwinowa i Kalma (dowódców brygad piechoty) było wie-

cej inicjowanych, chociaż... zataić nie może jednej okoliczności, ogólnem baczeniem ominionej, a z której nabyłem mimowolnego przekonania, że i szef sztabu 2giej armji, ówczesny generał Paweł Kisielow, *) nie był obcym gotującemu się wybuchowi, lecz że się później zrecznie wywinał *en retirant son épingle du jeu*, jak mówią Francuzi. Wiem, że rzucając tego rodzaju posadzenie na człowieka takiej dystynkcy i zasługi winienem usprawiedliwić się w obec czytelnika z obawy, żeby mnie nie oskarżył o lekkomyślność. Przytoczę więc niektóre fakta niezaprzeczanej prawdy, według których regulowałem zdanie moje.

W roku 1823 generał Kisielow był człowiekiem młodym, pełnym energii, gorliwości i rozumu. Śmiało rzec można, że lepszym szefem sztabu być niepodobna. On trzymał całą 2gą armie w swoim reku i nie było tak drobnej komendy, dokądby oko jego nie przeniknęło. Trudno dopuścić, żeby człowiek tak daleko sięgający bacnością oficjalnego kontroli, nie starał się poznać należycie i *medium* służbowe, które go otaczało. Przecież cały prawie sztab Wittgensteina należał do spisku, a Juszniewski, generał-intendant i Licharew, pułkownik kwatremistrzostwa, faworyt Kisielowa, okazali się w późniejszym czasie pierwszorzędnymi winowajcami stanu. Tego mało, generał Kisielow żył w ścisłej przyjaźni z Pestelem. Nierzadko przylatywał doń z Tulczyńskiem kurjer z poufnym poleceniem lub z kordyalem wezwaniem od Kisielowa. Sam byłem tedy świadkiem nieraz. Pytam tedy czyli wziawszy powyższe fakta na uwagę, można się oprzeć przekonaniu posadzającemu Kisielowa? Według mnie dwie winy ciąży na imieniu jego. Pierwsza: że wiedząc o spisku nie wpłynął na rozwiązanie onego, druga: że odstąpił tych, co mu zaufali w chwili niebezpieczeństwa, a Pestela, swego przyjaciela, sam wydał w ręce rządu. O tem badzie niżej.

(C. d. n.)

*) Późniejszy prezes Dywanu, Moldawii i Walachii, minister i poseł przy Napoleonie III. Był ożeniony z Zofją Potocką, córką Szezęsnego.

O przywilejach i ceremoniach w świecie dyplomatycznym,

napisał

dr. GUSTAW ROSZKOWSKI.

(Ciąg

dalszy.)

Szczególne formy rządu wprowadzają pewne szczególne kombinacye w wykonaniu prawa ambassady. I tak w państwach zbiorowych i związkach państw, akt konfederacji oznacza sposób urzędzenia ambassady. Mogą być albo ambassady ogólne, wysłane od całego związku, jak w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, a po części w północno-niemieckim Związku, albo ambassady szczególne, jak w Związku niemieckim z r. 1815 i w Szwajcaryi albo mogą być ambassady ogólne i szczególne razem, jak w starym cesarstwie niemieckim. Państwa południelne wysyłać mogą swych posłów dyplomatycznych, ale za zezwoleniem państwa, od którego zależą, najczęściej z ograniczeniem rangi; i tak mogły wysyłać tylko *Chargés d'affaires* Moldawia i Wołoszczyzna; w skutek traktatu z r. 1774, tudzież prowincye angielskie w Australii i Indyach wschodnich i prowincye holenderskie we wschodniej Azji. Dawniej niektóre miasta, nawet, jak

Neufchatel i Breme miały prawo wysyłania swych posłów, dziś wszakże to już nie istnieje.

Przyjmowanie posłów dyplomatycznych nie jest obowiązkiem żadnego państwa, ale wyrazem poczucia dobrze zrozumianego własnego interesu, tudzież konieczności Związku międzynarodowego. Wszakże bez obrazy prawa narodów można nie przyjąć posła dyplomatycznego w dwóch tylko wypadkach, gdy udziałność państwa nie jest uznana, tudzież gdy z niem wszelkie stosunki dyplomatyczne zerwane zostały.

Często się zdarza przyjęcie posła pod pewnymi warunkami. I tak: Francya i Szwecya nie przyjmują własnych poddanych na posłów od obcych państw, prócz tego każde państwo może odmówić przyjęcia posła, którego osoba jest mu niemiła, nawet niepożądana, lub co więcej, nie dająca gwarancji zaufania, co może mieć miejsce wówczas, gdy osoba ta poprzednio spełniła na

jego terytorium ważne jakieś przestępstwo, lub dała się poznać ze swych nieprzyjaznych dla niego przekonań. Zdarza się wszakże niekiedy odmówienie przyjęcia posła dla jakichś urojonych powodów, ale też to spowodowało zawsze powikłanie stosunków dyplomatycznych. I tak w r. 1757 Szwecya nie chciała przyjąć ambasadora angielskiego za to, że on po swej nominacji odwiedził księcia zostającego z Szwecją w wojnie. Anglia czuła się przez to obrażoną i zerwała dyplomatyczne stosunki z Szwecją. Wreszcie każde państwo może nie przyjąć posła przybywającego z misją uwłaczającą jego honorowi, lub przeciwną prawom miejscowym. Jest dzisiaj zwyczajem właściwie dyplomatycznym, iż każde państwo uwiadamia obcy dwór o przeznaczeniu do niego pewnej osoby na posła; jeżeli dwór ten nie protestuje wtedy poseł udaje się na swą misję bez obawy, iż nie zostanie przyjętym. Przyjęcie posła oznacza uznanie rządu, tak że przyjęcie ambasadora państwa nowo powstającego lub uzurpatora władzy państwowej, oznacza uznanie nowych tych dworów.

Dyplomatyczne stosunki państw załatwia albo reprezentant władzy państwowej, albo organa dyplomatyczne, t. j. w tym celu ustanowieni urzędnicy, jak minister spraw zagranicznych tudzież posłowie do obcych państw wysłani, a mianowicie: właściwi posłowie dyplomatyczni, a więc osoby upoważnione przez państwo do załatwiania ogólnych jego stosunków z obcym państwem, jak niemniej posłowie nieposiadający dyplomatycznego charakteru, a mianowicie komisarze, agenci, deputowani na kongresy, wreszcie konsulowie. Do dziś dnia istnieje jeszcze spór o to: czy konsulów należy uważać za posłów dyplomatycznych, czy nie? Mojem zdaniem, ponieważ natura czynności konsulów jest niedyplomatyczna, gdyż oni są ustanowieni wyłącznie do spraw handlowych, ponieważ zupełnie inaczej są powoływani na swe stanowiska, niżeli właściwi posłowie dyplomatyczni, ponieważ nie posiadają ani przywilejów ani praw ceremonii tym ostatnim należących, przeto odmówić im potrzeby dyplomatycznego charakteru, tem więcej, że ile razy powierzona im jest misja dyplomatyczna, tylekroć specjalne w tym względzie uzyskują upoważnienie.

Są różne rodzaje posłów dyplomatycznych. Ze względu na zakres władzy są posłowie pełnomocni, tj. z władzą ograniczoną lub bez takiego ograniczenia. Kardynał Mazarini reprezentant Francji przy traktacie Pirenejskim i baron von Lilienroth poseł szwedzki na kongresie Ryświckim mieli tytuły posłów pełnomocnych. Ze względu na czas trwania są poselstwa zwyczajne, stałe i nadzwyczajne, ustanowione albo na pewien czas, albo do pewnych przechodnich czynności. Choć kongres wiedeński wyraźnie zastrzegł, iż posłowie nadzwyczajni nie mają wyższego charakteru niż zwyczajni, to jednak i dzisiaj bardzo dostojne osoby zostają tylko nadzwyczajnymi posłami. Hr. Beust został nadzwyczajnym ambasadorem w Londynie. Ze względu na przedmiot misji są poselstwa przeznaczone do sprawowania interesów państwa na obcym dworze (*Geschäfts-Gesandter*) i poselstwa ceremonii przysyłane z powodu koronacji, zaślubin, chrztu itp., do czego używane są osoby należące do najwyższych sfer towarzyskich. Wreszcie ze względu na ceremonie i etykietę dworską istnieją od w. XV różne klasy posłów, na kongresie wiedeńskim w r. 1815 i Akwizgrańskim w r. 1818 ustanowione w następującym porządku:

Klasa I obejmuje ambasadorów i legatów tudzież nuncjuszów papieżkich;

Do klasy II należą t. j. *envoyés*, minister pełnomocny, internuncjusz austriacki w Konstantynopolu i internuncjusze papieżcy;

Klasę III stanowią t. j. *Chargés d'affaires, les Résidents*, konsulowie z specjalną misją dyplomatyczną. Zaś *Ministres Résidents* posiadają klasę pośrednią, między klasą 2gą i 3cią.

W wyborze osoby posła panujący nie jest niezem skrupowany, wszelako w dzisiejszej praktyce prawa narodów poselstwa powierzone są ludziom należącym do sfer arystokratycznych i bardzo bogatym, ponieważ koszt utrzymania w czasie sprawowania poselstwa, zwłaszcza w misjach ceremonii są tak wielkie, że małe państwa nie są w stanie ich ponosić i dlatego posłami są ludzie dość bogaci, aby z własnego majątku zaspakajać je mogli. Co się tyczy arystokratycznego pochodzenia posła, to pamiętną będzie na długo rozmowa Filipa II, króla hiszpańskiego z francuskim posłem od Henryka IVgo: *Etes-vous gentilhomme?* zapytał król posła zaraz po jego przybyciu na dwór. *Oui, si Adam l'était*, brzmiała odpowiedź. *De qui etes-vous fils?* zapytał król dalej. *De mes vertus*, odpowiedział niezmiészany ambasador.

Różnica płci nie jest stanowczą w uzyskaniu poselstwa. Już w Rzymie wysyłano kobiety w charakterze posłów do obcych państw. W czasach nowszych szach Perski posłał bardzo piękną kobietę do Sultana, jako posła. W tymże samym charakterze Ludwik XIV posłał pannę de Kerronal na dwór londyński, a August II sławną hrabinę Maryę Aurorę von Königsmark do Karola XII, ale piękna ta dama nie zdołała ani jednej audyencji wyrobić sobie u króla. Ze wszystkich poselstw kobiecych najgłośniejszem jest poselstwo marszałkowej hrabiny de Guebriant do Władysława IV. Charakterystyczny wypadek zdarzył się przed kilkudziesięciu laty w Londynie. Poseł Ludwika XVgo Karol, Genowefa, Ludwik, August, Andrzej, Tymoteusz d' Eon de Baumont z rozkazu rządu francuzkiego przywdział suknie kobiece i nosił je aż do śmierci, t. j. do dnia 10 maja 1810 r. Dopiero po śmierci okazało się, że sławny dyplomata w kobiecym przebraniu był rzeczywiście mężczyzną.

Udając się na misję poseł dyplomatyczny uzyskuje obok dokumentu powołującego go na to stanowisko, jeszcze t. j. pisma wierzytelne, t. j. pismo jego panującego do reprezentanta najwyższej władzy w państwie, do którego się udaje, oznajmujące mu o misji, o wybranej osobie posła i udzielonym mu charakterze, które to pismo wręcza się na audyencji po przybyciu na dwór. Papież udziela zamiast tego bulle

Oprócz pism wierzytelnych posłowie dyplomatyczni uzyskują jeszcze uprawnienie, t. j. pełnomocnictwo, wyrażające zakres działania, instrukcje co do postępowania na dworze, wskazówki tajnego pisma, t. j. *Chiffres*, wreszcie listy rekomendacyjne, pasporta, a udając się do państwa nieprzyjacielskiego — list żelazny. Wszyscy posłowie dyplomatyczni różnych państw, przebywający na pewnym dworze, tworzą razem t. j. ciało dyplomatyczne (*corps diplomatique*), której to nazwy użyła po raz pierwszy pewna dama na dworze wiedeńskim, w drugiej połowie zeszłego stulecia. Ciało dyplomatyczne stanowi jak gdyby stały kongres dyplomatów, obradujący nad wspólnymi interesami dotyczącymi ich państw, albo ich stanowisk na dworze. Przewodniczeniem w ciele dyplomatycznym należy do najstarszego wiekiem, niekiedy spełnia to nuncjusz papieżki. Ażeby posłowie dyplomatyczni wysokie swoje zadania wykonać mogli, t. j. aby rzeczywiście w całym zakresie z wszelką konieczną do tego swobodą mogli załatwiać interesa swoich państw i dworów na obcym dworze, aby czuwać mogli nad dobrymi z nim stosunkami i uczynić wszystko do odwrócenia grożącego ich zerwania, potrzeba ażeby zapewnione im było szczególne, prawne stanowisko. W stosunku do swego

państwa, poseł dyplomatyczny uważany być musi za delegata ministerium spraw zagranicznych, a więc za urzędnika państwowego, wyjawsz ambasadów, którzy reprezentują osobę swego panującego i dlatego zajmują stanowisk przez niego odznaczonych. Prawne stanowisko posła zawisłem jest właściwie od orzeczeń prawa publicznego tego państwa, z którego pochodzi. Stosunek zaś

posła do państwa, przy którego dworze został on uwierzytelnionym, określa już pozytywne prawo narodów, nadając członkom ciała dyplomatycznego szczególne przywileje, już to z powodu uszanowania majestatu ich państw i ich panujących, już dla zapewnienia im swobodnej, właściwej akty dyplomatycznej.

(C. d. n.)

W J E S I E N I,

komedia w jednym akcie

przez

Władysława hr. Koziębrodzkiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena XXIV.

ZYGMUNT, GWALBERT.

GWALBERT (do siebie).

Ideał... ideał żony!... lubi muzykę, a flet uznaje za najpiękniejszy z instrumentów... to żona dla mnie...

ZYGMUNT.

(przy drzwiach patrząc za Sabina)

Co za kibić, co za nożka, co za wkrójenie szyi... a jaka rozkoszna, jaka wesoła!... Prześliczna... (po chwili) Co to będzie za skarb w domu!...

GWALBERT (w rogu sceny).

Chociaż teraz tak źle się dzieje na świecie... ale Sabina to wyjątek. (po chwili) Wszystko przypuszczać mi każe, że mnie lubi... zapraszała do Gorowic... chciała, abym jej grał na flecie... mówiła, że po dniach całych będzie muzyki słuchać... w tem coś jest!... (zaczyna chodzić po scenie.)

ZYGMUNT.

(chodząc w przeciwną stronę, zamyślony)

Jak ja mój dom zajmuję! jaka troskliwa, jaka pamiętna, wszystko co się mnie tyczy, obchodzi ja nie mało... To dobry znak!... znam się na tem... tak się rodzi nie jedna miłość... Tak samo pamiętam z Wandą.

GWALBERT (do siebie, chodząc).

Widocznie nie jestem dla niej obojętny, pamiętała najmniejsze zdarzenie... myślę, że to nie jest bez przyczyny...

ZYGMUNT (do siebie, chodząc).

Widocznie zrobiłem na niej wielkie wrażenie... a w tym wieku... (spotykają się na środku sceny, patrząc chwilę na siebie i odwracają żywo.)

GWALBERT (na stronie).

O! Zygmunt mi coś zamyślony.

ZYGMUNT (na stronie).

Coś niezwykłego w twarzy Gwalberta...

GWALBERT (z ironią).

No jakże twoje kolano, kochany Zygmunco... strzyka ciągle, co?

ZYGMUNT (niechętnie).

Przeszło już dawno.

GWALBERT.

A coż doktor powie?

ZYGMUNT (przerywając).

A dajże mi pokój z doktorem!... (zaczyna chodzić.)

GWALBERT.

(Chodząc w przeciwną stronę.)

Hm!... co za przypuszczenie!... Kto wie... wszak wybierał się do Gorowic, mówił, że na seryo myśli o małżeństwie. (siada w rozpaczy w rogu sceny.) Okropność! a ja go namawiałem jeszcze!

ZYGMUNT (do siebie).

Ten Gwalbert myśli zawsze, że młodszy odemnie!... i... A gdyby on?... to może być, to bardzo może być, wszak zawsze tylko do małżeństwa wzdychał!... (siada w drugim rogu sceny) a ja mu tego nigdy nie odradzałem!... (Chwila milczenia)

GWALBERT.

(po namyśle do siebie.)

I on miałby się żenić!... i z nią do tego? On taki stary! słaby! lecz się tylko, ma podagrę, katar żołądka i początki paraliżu.

ZYGMUNT.

(podobnie do siebie)

I Sabina miałaby iść za niego?... Wszakże to stary kawaler, tetryk, nudziarz, dziwak i meloman.

GWALBERT.

(wskazując ironicznie na Zygmunta — do siebie)

Piękny narzeczoncy!

ZYGMUNT.

(podobnie do siebie.)

Piękny mi Pan młody!...

GWALBERT, ZYGMUNT.

(wstają naraz i chwilę chodzą po scenie milcząc, spotykają się we środku, patrzą podejrzliwie na siebie i rozchodzą się.)

(Tu gra mimiki powinna być bardzo rozwinięta.)

ZYGMUNT (do siebie).

Przysięgam, że ma zamiar.

GWALBERT (do siebie).

Niewatpliwie Zygmunt chce się żenić!... (chodząc chwilę wymijając się.)

ZYGMUNT.

(wstrzymując się, do siebie)

Tak trzeba postąpić... nie mam się co namyslać! (wybiega)

GWALBERT (do siebie).

Wiem co robić!... tak najlepiej... (wybiega innymi drzwiami.)

Scena XXV.

(Przez chwilę scena pusta.)

PAULINA (sama).

PAULINA.

(Wchodząc bocznymi drzwiami).

Nie widziałam go jeszcze! a jednak serce moje wzruszone ciągle uczuć niepokojem! To już lat dziesięć jak miłość wstąpiła w dziewicze serce moje! To lat dziesięć jak w czystym przybytku piersi mej, człowiek ten rozpałił iskrzącą, płomienną lampę... i lampa ta płonie, żarzy się... świeci... tajemnie. I nikt nie wie, nikt miłości mej nie odgaduje i on nawet, on nie wie, nie przeczuwa i nie odgaduje. Boże!... czy nigdy nie odgadnie i nigdy nie przeczuje?... (siada). Nie wiem, ale po- byt w tym domu podziałł niebezpiecznie na nerwy moje!... jakaś tu atmosfera, co drzeniem niepokoiu, zmysły moje nawskroś przejmuję. Być u kawalera! Choć ten kawaler bliski krewny, być w jego domu, w jego pokojach, być do tego samą bez żadnej obrony, prócz własnej cnoty! O! co za sytuacja... dla dziewczycy... (po chwili) i do tego w takiej chwili, w takiej sytuacji, spotkać!... Ach! czuję, że siły moje na samą myśl tę opuszczają mnie. (pospiesznie) Czuję iż dziś niepotrafi- łabym być ani surowa... ani nieubłagana. (po chwili) Sabinę zostawiłam z jej dawną nianką, bo lękałam się żeby z mej twarzy nieodgadła tych wzruszeń słodkich i niebezpiecznych!... Chcę być samą... chcę w samotności czułam się pieścić się nadziejami. (Opiera się ręką o stół, po chwili spogląda na książkę i otwiera ją.) Zgroza!... co za rysunki!... o mężczyźni! mężczyźni! gdzież miłość czysta zdoła się w piersiach waszych pomieścić, gdy zmysły wasze drażnią takie obrazy!... (Po chwili.) Ten Zygmunt, co to za zepsuty człowiek!... O! to nie tak jak Gwalbert, który serce pieści muzyką... Tu wszędzie namietności i zmysłowość... (Chce patrzeć w książkę i waha się chwilę.) A! jednak, jak to jest, zgubnie po- netne i pociągające... gdybym zobaczyła... trochę... (ogląda się.) I tak nie ma nikogo... przejrześ przedko... (Odsuwa książkę.) Fe... (Bierze ją napowrót i przegląda szybko).

Scena XXVI.

PAULINA, ANTONI.

ANTONI.

(przedko drzwi otwiera. — Paulina odrzuca książkę i odskakuje, Antoni robi minę dwuznaczną.)

Mego pana tu nie ma?

PAULINA.

Ach! jakżem się przelekała!

ANTONI.

(Przechodzi scenę.) Oglądała!... oj!... to mi ciekawa Panna (wychodzi).

Scena XXVII.

PAULINA (sama).

PAULINA (przyszedłszy do siebie).

Ten człowiek wszedł tak niespodziewanie! (z niepo- kojem.) Wszystko w tym domu jest tak niebezpieczne... (po chwili.) Ach! Co by ludzie powiedzieli, co by świat powiedział, gdyby przypadkiem zobaczył mnie samą w pokoju kawalera... taką drzącą, pomieszana... wzru- szoną... niepewną... Byłabym zgubiona... przez oszczer- cze ludzkie języki, które rzuciły by potwarze... na nie- winność moją... Na szczęście nikt mnie tu widzieć nie może.

Scena XXVIII.

PAULINA, GWALBERT.

GWALBERT (do siebie).

Nie mogę Pauliny znaleźć...

PAULINA (z wzruszeniem).

On!... (Siada.) Sama z nim! zgubiona jestem!...

GWALBERT.

Ach! Paulino, jeszcze ci dziś nie widział (podaje jej rękę.) Ale co ci jest! ręka twoja tak drży!

PAULINA (na stronie).

Co za sytuacja!...

GWALBERT.

Możesz słabą? powiedz!

PAULINA (wzruszona).

Nie Gwalbercie...

GWALBERT.

Bo ja mam Moryzona... powiadam Ci, nie ma jak Moryzon...

PAULINA (na stronie).

Jaki troskliwy!... lecz w tem zdrada pewnie mężka... panować, panować muszę nad sobą.

GWALBERT (na stronie).

Gdybym skorzystał? wyborna myśl, Sabina ją tak kocha! przez nią, przez jej wpływ... (bierze krzesło, bardzo blisko przysuwa do Pauliny i siada).

PAULINA (na stronie).

Tak blisko! co za sytuacja!... przytomność mnie odbiega! Paulino czuwać nad sobą!

GWALBERT (pompatycznie).

Są chwile w życiu... są położenia!... są wypadki tak niezwykle, tak nadzwyczajne! są ludzie którymi los tak dziwnie, tak niesprawiedliwie miota!

PAULINA (na stronie).

Zdaje mi się że przecież już nadeszła chwila... Co się tu ze mną stanie!... Paulino czuwać nad sobą!

GWALBERT (jak wyżej).

Są ludzie, którym jakaś gwiazda nieszczęśliwa ze- szła nad kolebką, i przyszłość ich zaklęta smutnie, tak że w walce z życiem mimo najgorętszych uczuć... mimo skarbu miłości w piersi, długo, długo jak rozbiitek na morzu walczą z przeciwnościami, długo pośród fal niechętnych rzucają się ku uśmiechniętej nadziei a fale odpychają ich na burzliwy ocean, nadzieja błyszcząca zda im się niknąć na zawsze i życie wtedy jest jednym pasmem zawodów, cierpień, bólów i rozpacz...

PAULINA.

O! Gwalbercie, jakąż prawda w tych słowach, któż odemnie więcej wie, ile los może być niesprawie- dliwy, jak świat i ludzie...

GWALBERT.

(Przerzucając zmienionym głosem.)

Proszę cię nie przeszkadzać, niech skończę. (pompa- tycznie) W walce takiej z niesprawiedliwym losem, z za- wodami, jedni upadają na duchu, tracą wiosenną woń duszy, uczucia ich z kwiatów przechodzą jak pelzający robak na bujny grunt zmysłowych rokoszy. Wszystko co w piersiach ich było niewinnego, podniosłego, dzie- wiczego, wszystko się zatraci i przeradza w namietne chwile. Drudzy ludzie przez próby te przechodzą jak salamandra przez płomienie, nie tknięci, nie skalani... żadna strona naciągnięta w ich duszy nie zatraci głosu, wszystko co w młodości, co w pierwszych dniach roz- kwitu, — harmonią im było anielską, wszystko to mimo lat, czasem nawet dość długich pozostaje niezmiennie, nietknięte, nienaruszone...

PAULINA (na stronie).

Ta mowa!... o losie, dzięki ci!... jakżeż on czule zbliża się do celu.

GWALBERT.

Takim Paulino człowiekiem, który mimo zawodów, boleści, przeciwności, został wiernym swojej młodości, niezatrucił skarbów duszy, nie roztrwaniał swoich uczuć... ja jestem.

PAULINA.

Gwalbercie!

GWALBERT.

Tak ja! Nie będę ci powtarzał, ile zawodów i boleści przeszedłem w mojem życiu... Los się nademną uragał, szydził zawsze ze mnie. Lecz ja wytrwały byłem, liczyłem i wierzyłem zawsze, iż przyjdzie chwila zadośćuczynienia...

PAULINA (przerwywając).

O! to zupełnie tak jak ja!... i ja wierzyłam zawsze, że przyjdzie chwila zadośćuczynienia...

GWALBERT (zmieniając głos).

Pozwól niech skończę... (pompatycznie.) I dziś, dziś mam nadzieję, dziś gwiazda znów zabłysła świetniej, dziś jak rozbiitek widzę rozkoszny ład przed sobą, pokryty zielenią i kwiatami...

PAULINA (na stronie).

Wiec już... o! (mdleje).

GWALBERT.

Co ci jest, Paulino... Co ci jest? Czyż zemdląca? może wody? (biegnie do stołu i przynosi szklankę wody.)

PAULINA.

(budzi się na widok wody).

Już mi nic... (na stronie.) Ach!...

GWALBERT.

Tys widocznie słaba... mówię ci że tylko moryzon...

PAULINA.

To, nic... ale mów dalej, na Boga mów dalej!...

Przegląd literacki.

Hugo Victor. *L'année terrible*. Paris. Michel Lévy. 1872.

Poemat p. Victora Hugo „*L'année terrible*“ doszedł już do siódmego wydania w przeciągu niespełna trzech tygodni. Od czasu, jak wyszedł na świat, nie przestają o nim pisać w paryskich dziennikach; wszyscy nawet przeciwnicy sędziwego poety podziwiają jeżeli nie całe dzieło, to przynajmniej niektóre jego ustępy: za granicą nawet, a szczególnie w Rosyi i w Niemczech rozdano wielką liczbę egzemplarzy. Jest to powodzenie niesłychane, a tak zasłużone, jak niespodziewane.

Przez dwa lata bowiem ostatnie p. Victor Hugo od czasu do czasu drukował w *Rapelu* pojedyncze wiersze, których zbiór stanowi dzisiejszy jego poemat, a krytyka w ogóle nie bardzo przychylnie przyjmowała te płody pióra wielkiego, ale, jak mówiono, zestarzałego poety. Nazywano to fanfarami *à la Hugo*; żartowano z jego deklamacyi, wyszydano zwyczajne jego wady: wyszukiwano szorstkość i prozaiczność przy dziwacznych obrazach i wyrażeniach. Teraz zaś, gdy się pokazała całość a nie *disiecti membra poetae*, sarkazm przycichł a podziwienie jest ogólne. Przyczyną tego jest naprzód, że *Rappel* ogłaszał wtenczas nie najlepsze ustępy poematu, a powtóre, że właśnie poemat, chociaż złożony z kilkudziesięciu ustępów, stanowi pomnik zadziwiający jednością i wielkością, tak, że jego pojedyncze usterki i wady znikają przed wrażeniem silnym, olbrzymim, jakie sprawia na czytającym.

GWALBERT (jak wyżej).

Wasz dziś niezwykle przyjazd, zjawienie się niespodziewane wasze, postanowienie to, zrobiło niezłomnem. I postanowiłam sobie nie tracić ni dnia ni godziny!

PAULINA (wstając żywo, na stronie).

Ratować się muszę!

GWALBERT.

I dlatego mówiłem ci to wszystko, bo ty jedna...

PAULINA.

Nie kończ! na Boga, nie kończ w tej chwili!

GWALBERT.

Od słowa twojego...

PAULINA (na stronie).

Muszę mu utrudnić zwycięstwo... (głośno.) Wiem, wiem już wszystko, przeczuwam wszystko. Ach Gwalbercie! wszystko tak jest niespodziewane; tak, prędkie, tak gwałtowne...

GWALBERT.

Tak niespodziewane, tak prędkie, tak gwałtowne, lecz pomyśl, ile lat czekam na szczęście.

PAULINA (na stronie).

A ja! (głośno.) To wszystko odbiera mi przytomność, pozwól...

GWALBERT (przerwywając).

Tobie więc Paulino, los mój chcę oddać cały...

PAULINA (żywo).

Nie kończ! pozwól niech w samotności zbiorę siły moje... (Chce odejść.)

GWALBERT (wstrzymując ją).

Twoje jedno słowo!

PAULINA.

Domyslałam się resztę. O!... lecz pierwszej wolności pragnę... Gwalbercie! Jednak nie trać nadziei... (wychodzi i po chwili otwiera drzwi.) Mówię ci Gwalbercie, nie trać nadziei (wychodzi).

(Dok. n.)

Rok straszny składa się z dwunastu pieśni opowiadających dwunastu miesiącom, a zaczynając od Lipca r. 1870 kończy się na Lipcu r. 1871. Sam wybór przedmiotu, sam poematu tytuł jest nowością w literaturze francuskiej. Nigdy jeszcze, o ile wiem, żaden francuski poeta (oprócz Agrippa d' Aubigné w *Tragiques*, po wojnie religijnej) nie czerpał natchnienia z nieszczęść ojczyzny i nie opowiadał z patryotyczną boleścią wszystkich jej klęsk i upokorzeń, aby z nich wyspiewać naukę, jaką zawierają i aby wydobyć z tak długiej rozpacz, nadzieję lepszej przyszłości. Należało się Wiktorowi Hugo, który przez cały wiek XIX stał na czele ruchu poetycznego i był najczynniejszym twórcą wszystkich reform, wszystkich metamorfóz poezji romantycznej w swoim kraju, na schyłku życia swojego otworzyć jeszcze jedną drogę następcom swoim i stworzyć poezję patryotyczną.

Jednak ciesząc się z tego nowego kierunku obranego przez p. Wiktora Hugo, zarzucilibyśmy mu tylko, że jego patryotyzm prawie wyłącznie odnosi się tylko do Paryża, że Paryż jest przedmiotem jego miłości, jego uwielbienia, jego fetyszyzmu, że podnosząc bohaterstwo wielkiego miasta, nie wyświeca zarazem wad jego i grzechów, a opowiadając ze zgrozą zbrodnie, jakich był w ostatnich miesiącach teatrem, zdejmując z niego winę, przypisując ją fatalizmowi, obu rządów, ale nie samemu Paryżowi.

Po tem zastrzeżeniu, powtórzywszy jeszcze raz, że znajdują się w nowem dziele p. Hugo te same wady, co

w poprzednich, chciałbym usprawiedliwić podziwienie ogólne, jakie ono wywołało, chociażby pobieżnem jego streszczeniem, gdyby było możebnem dać czytelnikowi wyobrażenie o tej dziwnie wysokiej i gęstej poezji, przypominającej drzewa i rośliny tych krain, gdzie natura i słońce obdarzone są siłami bujniejszymi i gorętszymi promieniami.

Na początku widzimy padające niezliczone płachty śniegu, wszystko zakrywające, tak że drogi pod śniegiem odszukać nie można i wszystko stało się zasadzką — ale z tego śniegu cóż jutro zostanie po wschodzie słońca? Temi śniegowymi płachtami są miliony buletynów plebiscytowych potwierdzających cesarstwo. Wschód słońca, które je roztopia, jest to smutna i krwawa zorza sudańska.

Pieśń pod tytułem Sedan jest dalszym ciągiem sławnego ustępu z *Chatiments* zatytułowanego *L'Expiation*. Poeta nie marzył o karze tak okropnej za zbrodnie grudniową: „*Toulon, c'est bien*,” powiada, „*Sedan, c'est mieux*.” Ale dlaczegoż ten ukarany złoczyńca upadając tak haniebnie przyprawia niemal i Francję o upadek?

Tu następuje opis bitwy, opis straszny, przerażający: kartacze padają, ranni jęczą, grzmia działa, każdy myśli tylko o powinności, o honorze, o poświęceniu życia, o ojczyźnie, gdy nagle wśród zaciętej, bohaterskiej walki daje się słyszeć krzyk ten haniebny: ja chcę żyć! Wtenczas, powiada poeta, Gallia i Francja, wtenczas wszyscy ich wodzowie Brenaus i Klowis, Karolowie wielcy i Turenne, Condé i Villars, wtenczas i Kleber i Desaix, wtenczas Napoleon większy od Cezara i Pompejusza przez rękę złoczyńcy oddali swą szpadę:

Par la main d'un bandit rendirent leur épée.

Po Sierpniu, Wrzesień. Francja zalana wojskami niemieckimi. Wojna pustoszy najbogatsze prowincje, wojna ohydna, w której idzie zwycięzcy o to, aby zwyciężonego ogłodzić z ostatniego mienia. To nie są żołnierze, nie — to są złodzieje; ich hasłem jest: „dajcie nam pieniądze, dajcie wszystko.”

Paryż obleżony! Niepodobna wspomnieć o wszystkich obrazach tych kilku miesięcy. Tu poeta odzywa się do pruskich trupów pływających po Sekwanie: „Mówiliście sobie: idźmy do tej nierządnicy. Babilon tam leży, obfity w śmiechy, w pieśni; tam będziemy mieli uciechę, o Sasy, o Germanie, dalej! do Francji! Paryż, który się dla obcych upiększa i umizga, otworzy nam swe ramiona...” „Tak,” dodaje poeta „i Sekwana łoże swoje.”

Dalej znajduje wiersz pod tytułem Do Francji, który stał się już popularnym. Gdy Francja opuszczoną jest od wszystkich europejskich rządów, poeta woła: „Ach! chciałbym, chciałbym nie być Francuzem, abym mógł powiedzieć, że Cię wybieram Francjo, i że w tem męczeństwie ogłaszam Ciebie, którą sep teraz rozszarpał, Ojczyznę moją — sławą, miłością jedyną!”

W liście przesłanym *par le ballon monté* czytamy opis obleżonego Paryża, zawierający szczególnież zasłużoną pochwałę kobiet znoszących wszystko: „zgasły komin, nogi mrozem pokaleczone — na czarnym rzeźników progu nocne oczekiwanie — wicher, śnieg wypróżniający zimne urny swoje — głód, zgrozę, walkę, nie nie widząc — jak tylko wielką ojczyznę i wielką powinność!”

Jest także wiersz o gołębiu noszącym pod skrzydłem „bitwę, szturm, zwyciężonych, zwycięzców i szmery serc tajemnicze i przyszość ogromną, która zamyka w losie Paryża los Europy całej.”

Poeta prawdziwie także natchnionym jest w groźnym i silnym apologu filozoficznym p. t. W Cyrku. Lew południowy przemawia przed walką do północnego niedźwiedzia i pokazując mu na tronie śmiejącego się

człowieka, powiada mu: „To jest Neron, cesarz rzymski, dla jego uciechy zabijemy się; grozisz mnie, dobrze: czekam na ciebie, pazury ma gotowe, ale zdaniem mojem jesteście głupcami szarpiąc siebie nawzajem z taką wściekłością i lepiejbyśmy zrobili, zjadając cesarza.”

Ale walka nie mniej toczy się dalej. Lew uległ pod przeważną siłą. Nastąpiła kapitulacya. Poeta wymownie wyraża oburzenie ludności paryskiej: „z twego poświęcenia, z twego szaleństwa, z twojej dumy, z twego męstwa, zrobili oni podłość — o ludzie! a będzie to historyi przestradchem — widzieć tyle hańby wyszłej z takiej chwały.”

Nareszcie kończy się ta pierwsza część poematu wierszem p. t. Do tych, którzy znowu mówią o braterstwie. Poeta nie chce słyszeć o zgodzie przed zwycięstwem: „Myśl taka, która jutro będzie godną, dziś byłaby podłą.”

W tej pierwszej części poematu p. Hugo musieliśmy przyklasnąć wszystkim bez wyjątku myślom i uczuciom przezeń wyrażonym, bo zgadzają się one z prawdą, ze sprawiedliwością i gotowe są budzić w sercach miłość dla ojczyzny a nienawiść dla wroga. Druga część poświęcona wojnie domowej, na którą poeta patrzył z daleka, równie wymowna i piękna, nie będzie jednak wolną od niektórych zarzutów, które sięgają dalej jak poemat, a przynależą całemu stronnictwu, do którego zaciągnął się poeta. P. Hugo nie oświadcza się ani za Wersalem, ani za Komuną, jest tylko tłumaczem zgrozy, jaką napęliła wszystkie szlachetne serca okropna walka między zwycięzonymi Francuzami pod oczami zwycięzców, potępia zarówno bombardowanie przez wojska liniowe łuku tryumfalnego i zrzućenie przez Komunę Kolumny Vendomskiej; płacze łzami Jeremięgo nad pożarem Paryża i przypisuje zbrodnie ludowe jednemu tylko nieuctwu, wprowadzając podpalacza biblioteki, który na wymówkę, iż sam zniszczył skarb własny, własne bogactwo, odpowiada: „nie umiem czytać.” Wszystko to prawda... Ale czy wiersze o rozstrzelanych, którzy idą na śmierć z taką rezygnacją, z taką obojętnością, śmiejąc się i żartując wtenczas kiedy wszystko naokoło pokrywa się kwiatami i zielonością, czy te wiersze nie zdolne są ożywiać nienawiść proletaryatu do mieszczaństwa i do wojska? Czy, przedstawiając ofiary dni majowych, jako męczenników, nie obawia się poeta uwieczniać tego nieporozumienia fatalnego między dwiema klasami? Lepiej było zachować do końca neutralne stanowisko osadzającego rzeczy i ludzi z wysoka i pobłażliwie, w imieniu ojczyzny, co było zawsze rolą poety. Należało uspokoić, nie rozdrażniać, oświecać nie rozczulać i obrócić nareszcie wszystkich oczy i serca ku jednemu tylko ideałowi — ku Ojczyźnie.

Zapewne kwestya społeczna zawsze groźną jest i będzie, zapewne jest powinnością myślicieli poszukiwać sposobów pokojowych zmniejszenia niezasłużonej nędzy: dla tego nie zadowalnia nas epilog poematu, którego tu prawie dosłowny przekład podajemy.

STARY ŚWIAT.

Dobrze, falo! Lecz odejdź teraz. Przyszła chwila... Nigdy jeszcze nie osiągnął wzrost twój tak wysoko. Ale dlaczego jesteś tak ciemną i dziką? Czemuż z przepaści twojej jak z ust krzyk wychodzi? Zkąd ta straszna ulewa i cień i hałasy. I wiatr ów smętny, w nocy szalejący trąbach? Wzmagają się bałwany z dziwnym jakimś szumem! Wszak tu granica twoja. Zatrzymaj się mówię. Stare ustawy, stare przeszkody, wędzidła, Nieuctwo, nędzę, nicość, głębokie podziemia, Gdzie zamiera nadzieja, te duszne katorgi, Starodawną męczyzn nad kobietą władzę,

Wielką ucztę zamkniętą dla wydziedziczonych, —
I dawne zabobony i dawną fatalność
Nietknięte zostaw... Odejdź — to są rzeczy święte.
Spuść się na dół i zamieć! Jam te podniósł mury
Koło rodu ludzkiego, jam te stawiał wieże.
Ale ty ciągle ryczysz? Ale rośniesz ciągle?
Wszystko runie pospół pod twym wściekłym pędem.
Oto tutaj mszał stary, oto kodeks dawny...
Rusztowanie twą wodą zalane, zniknęło —
Lecz króla się nie dotknij! Nieba! I on zginął.
A ci święci, mężowie?... Co widzę? Zgubieni...
Zatrzymaj się! to sędzia... to ksiądz! zatrzymaj się!
Bóg ci mówił: nie pójdziesz dalej, gorzka falo!
Ale i mnie pochłaniaisz!... Wspomóż Panie! Morze!
Już nieposłuszne, moje zalewa schronienie.

FALA.

Maszmnie za morski przypływ — a jestem potopem!
A więc ostatnim słowem poety jest potop, zniszczenie, przynajmniej zniszczenie starego świata. Dobrze! A co potem? Czy p. Hugo nie mógł postawić innego ideału i dać nam wyobrażenia o tym nowym świecie, który ma zapewne po potopie zakwitnąć? A jednak bez tego pozytywnego wykazania lepszej przyszłości poeta jest tylko rewolucjonistą, nie reformatorem. My mamy inny ideał: my wiemy dla jakiej przyszłości pracujemy; świat przyszły okazuje się nam w formie ludzkości żyjącej w spokoju i dobrobycie, bo złożonej z ojczyzn wolnych i swobodnie rozwijających się (jedne obok drugich) pod łaskawem wejrzeniem Boga; a możemy przy czyniać się w miarę sił naszych do urzeczywistnienia tego ideału, pracując nad wskrzeszeniem i podniesie-

niem wskrzeszonej Ojczyzny. Takim to ideałem przy-
świecają nam poeci nasi. Żałujemy, że p. Victor Hugo
trzymał się na pół drogi i utonął w tej fali, która jego
mieszczanina wraz ze starym światem pochłonię gotowa.
Oprócz czysto politycznych lub patryotycznych ustę-
pów, „Rok straszny“ zawiera prześliczne ustępy, w których
poeta osobiste żale swoje lub pociechy maluje, to roz-
mawiając z młodzieńką wnuczką Joanną, która wzrasta
śródo okropności jak kwiatek śród ruin i uśmiecha się
na odgłos kartaczy, to opłakując śmierć nieodżałowanego
syna Karola, który umarł w Bordeaux zaraz po kapitu-
lacji, to opowiadając przechadzkę swoją do ogrodu des
Feuillantines, w którym sam dziecinne lata przepędził, a
gdzie teraz padają bomby pruskie. Są to jakoby kwiaty
wiosniane lub żałobne, rzucone na tę olbrzymią i smętną
epopeję nieszczęścia Ojczyzny, a takie właśnie ustępy
tem bardziej są tu na swoim miejscu, że uzupełniają
obraz Roku straszego, w którym każdy oprócz klęsk
publicznych musiał albo obawiać się o losy swoich albo
płakać nad ich śmiercią.
Streszczając to, cośmy już w poemacie powiedzieli,
winszujemy Francji, że w niedoli swojej znalazła wie-
szcza, który zdołał pocieszyć ją pieśnią, tak wzniosłą i
patryotyczną i zemścił ją, o ile mógł, za pomocą geniu-
szu swojego; winszujemy p. Hugo, że nową stronę za-
wiązał na lirze swojej, stronę patryotyczną; ale wyra-
żamy zarazem żal swój i obawę o niektóre wiersze nie-
roztropne, o niektóre dążności niejasne i niebezpieczne,
które zdają się nam być jak na teraz największą prze-
szkodą do podniesienia chwilowo upokorzonej Francji.

W. G.

PRZEGŁAD TEATRALNY.

(„Skapiec.“ — Pan Rapacki w roli Jagu.)
W przysłym roku przypada 200-letnia rocznica
śmierci Jana Baptysty Moliéra. A mimo to po dwóch
wiekach każdy wybredny smakosz piękna zachwyci się
jego genialnym humorem, a *Odeon* i *Theatre français*
dają go ludowi paryskiemu co dnia podziwiać, aby nie
zglupiał na farsach Offenbacha... I całe społeczeństwo
francuskie, spracowany uwrier i sybaryta-mieszczanin,
wyuzdana kokota wieczornych bulwarów i tkliwa dusza
pani Georges Sand, człowiek przelotnego śmiechu i czło-
wiek posepnej myśli, a przed wszystkimi innymi gospoia
Laforest, jednakowe mają źródło rozweselenia w utwo-
rach tego poety. Ale bo też nikt nie poznał tak grunto-
wnie wszystkich warstw społeczeństwa, dla którego pisał,
jak Moliér... Rzucany igrzyskiem losu po całej Francji,
tandetnik, aktor i kamerdyner królewski, czegoż nie doj-
rzał, nie dosłyszał?... A miał rzadką, niedoścignioną
prawie bystrość w robieniu spostrzeżeń nad naturą swego
narodu i społeczeństwa w ogóle. W swych komedjach
i krotoczwilach dobył wszystkich akordów z ludzkiej
duszy i ponoś nigdy absolutnie nie będziemy pewni, czy
najbardziej go podziwiać w „Świątoszku“, czy w „Skapcu“,
czy w „Uczonych kobietach“, czy w tym wreszcie sza-
lonym „*Médecin malgré lui*“?

Moliér był pierwszym, który do komedji wprowa-
dził na szeroki rozmiar — tendencję moralną. O Ari-
stofanesie niktby nie sądził, że go mocno bolały stosunki,
które wyszydzał. W tem właśnie słowie leży różnica
dwóch mistrzów. Moliér nie szydził, tylko malarował —
i to ze łą w oku... Dla tego Moliér był zawsze mora-
listą głębokim i świetnym, chociaż zupełną miał wiedzę
że nim jest... Powiadają krytycy, że taka samowiedza
psuje czysty artyzm w dziele sztuki — trudnoby nie

przyznać, że nazbyt częste moralizowanie w komedjach
Moliéra nie zaszkodziło trochę jego fantazyi, ale trudno
też i nie uwielbić za to poetę, że sztukę swoją pojmo-
wał na seryo a teatr uważał za krynicę wrażeń piękna
i dobra zarazem. Moliér był twórcą ponurym. Choroby
i grzechy ludzkiej natury nie tyle go śmieszyły, ile bo-
lały. Dlatego w dowcipie jego nie znajdziesz tego szalo-
nego, beznamiętnego humoru, co w komedji starożytnej,
ale pod śmiechem poety dostrzeżesz prawie łzę perlącą
się w źrenicy... Bo też Moliér nie zajmował się dro-
bnostkami, nie ośmieszał w komedji śmiesznotek po-
wszedniego życia, które jakkolwiek są ludzkimi, nie są
wyływem logicznym natury, nie są objawieniem się jej
niezbędnem, mającem swe prawo bytu na każdym grun-
cie, w każdej atmosferze moralnej. Moliér brał za tematy
swych utworów grzechy i słabości. Stanowisko po-
ety w obec nich było poważnem, jak stanowisko lekarza,
trzymającego za puls pacjenta i badającego, jak długo
w takim stanie chory jeszcze przeżyje? Kreślił on takie
choroby, które będąc skutkiem jakiegoś defektu psychi-
cznego, wyrodzić się muszą a wyrodziwszy, owładają całą
istotą człowieka, pchają go w kierunku wyłącznej na-
miętności, czyniąc go niezdolnym do wszechstronnego
pełnienia poważnej misji życia... Śmiesznotki życia ni-
kogo nie mogą na dłuższy czas przerazić czy zmartwić,
ale robak toczący ludzkość od wieków i obiecujący ją
toczyć po wieki, może słusznie myślącego człowieka za-
niepokoić a poetę rozgoryczyć. Te to więc namiętności,
wzdymające wieczyście łono świata, jakkolwiek w świetle
komicznem przedstawione, były tematem Moliérowskiej
fantazyi. Gdy po komedjach wyzyskujących przypadkowy
komizm życia odnosimy wrażenie żartu powiadając: to
jest na scenie i dosyć jest dobre, ale w życiu może i

nie być! — po komedii Moliéra wzdychając szepcemy sobie na ucho: niestety! tak jest w życiu! cóż tu robić, aby się poprawić, oczyścić, udoskonalic?... a pytam czy nie takie być powinno wrażenie sztuki? chyba że teatr będzie czymś kalejdoskopem obrazków bez treści i bez żadnej podstawy moralnej! — I w tem był Moliér twórcą mistrzowskim; że w kompozycji swoich charakterów umiał jednoczyć wszystkie potrzebne rysy, nie tworząc postaci urywkowych, ale obejmując w ramach obrazu całość duszy. Stawiał on swoje figury przed widzami nie tylko w pojedynczych fazach życia, ale w całym ich stosunku do świata i natury. Patrzymy na Harpagona. Widzimy jego pożycie w obec sług, dzieci, władz rządowych, cieles tego świata, widzimy go w obliczu najważniejszego faktu, jaki w życiu wewnętrznym człowieka zająć może, — w obec zamierzonych ślubów małżeńskich. I czyliż w każdym razie zachowanie się jego nie jest w najwyższym stopniu prawdziwym, a zarazem czyliż w niem nie ma wszystkich żywiołów najszczerzego komizmu?

Nie chcecie mówić, że Moliér się przeżył. Naprzód powiedziałbym, że kto żył już dwa wieki, ten ma w sobie przmioty nieśmiertelności. Ale co więcej — w komedjach Moliéra żyje w gruncie rzeczy wszystko tak, jak dzisiaj. Zmieniły się warunki życia, zmieniły się akcesorya sceniczne, ale pozostała prawda jego charakterystyki i umiejętność przeobiekowania jej we formy wysoko artystyczne. Kto nie maluje kolizyj urojonych, nie może się przeżyć. Byłby ten jednak krytykiem pełnym uprzedzeń, ktoby chciał widzieć przeżycie się Moliéra np. w klótni Kleanta z ojcem... Jakkolwiek i dziś synowie kłóca się z rodzicami, to jednak chociażby rysunek był za jaskrawym, któżby dla lekkiego szatarenizmu przypominał o potężnych kształtach klasycznego ciała? A drugi zarzut, że Moliér jest za szorstkim i za trywialnym, czyż się ostoi w obec wyższych pojęć o naturze piękna? Zostawcie rolę czynienia takich zarzutów jedwabiemu Boileau, ale wy, synowie realizmu, nie wymyślcie, bobyście taką krytyką pokreśli karki Moliéra i razem — Szekspira... A ponoś taka droga byłaby dla samych krytyków najbardziej karkołomną.

Są artyści lekkomyślni, którzy w postaciach, jak Tartuffe, Harpagon widzą tylko stronę komiczną, nie widząc demonicznej namiętności, której one uległy w tym stopniu, że powinny obudzać nie tylko śmiech lecz i politowanie... Są to ludzie przepelnieni namiętnością tak dobrze, jak bohaterowie Aeschylasa i Szekspira, tylko że ta ich namiętność nie występuje pod formą grozy tragicznej, ale w pozornie lekkiej szacie humoru.

Kto więc nie zrozumie, że motywem duchowym Harpagona jest namiętność, chorobliwy temperament, kto będąc artystą, nie położy takiego piętna na tej postaci, ten ją sfałszuje, wywołując pusty śmiech na usta, a nie płodne w moralny skutek rozmyślanie w głowie. P. Rapacki (Harpagon) tak ją właśnie pojmuję; nie zacierając strony komicznej charakteru, podkłada jej tło poważniejsze, tło silnej namiętności, wyprzedzającej członki jego ciała zarówno silnie, jak strony jego duszy... Dlatego

możemy łatwo umotywić grę p. R. w scenie rozpacz po ukradzeniu szkatułki, wobec zarzutów przesady. Są pewne charaktery, dla których osądzenia należy dobierać zupełnie innych kryteriów, jak w powszednim życiu. Postacie wyjątkowe, jak Harpagon, nabierają takiej excentryczności w swym całym układzie, w całej grze swej fizyognomii, w całej anatomii swych ruchów, że te formy zarówno wyborne, jak excentryczne, jakie nadał p. R. swej postaci w chwili rozpacz, są uzasadnionemi naturą samego charakteru. I owszem — powiedziałbym, że ta scena jest mistrzowską; słusznie ktoś obok mnie siedzący powiedział, że w grze p. R. nad utratą skarbu rozpaczał nie tylko Harpagon, ale każdy jego muszkuł, każdy włosów kósmu, każdy fałd sukni... Równie wyborną była scena mizdrzenia się w obec Eufrozyny; bladym tylko, mozaikowym i nie powiązany jednolicie był akt V. w grze pana R. Z zanadto wielką flegmą przyjmował szereg ciosów weń godzących i za mało odbijał na sobie wrażenia sytuacji. Ton jednakże zgryźliwego, ciąglem czuwaniem zmęczonego starca, który nie ma już uczuć, chyba tylko wybryki chorobliwej fantazy, jak ów cały projekt zaślubin z Maryanną, był ujętym właściwie i konsekwentnie przeprowadzonym. Zarzucić tylko musimy artyście charakteryzacyę przesadną, sprowadzającą powagę sztuki do karykatury.

Przedstawienie „Skapca“ w małej tylko części się powiodło. Tylko pani Doroszyńska (Eufrozyna) i p. Doroszyński (Jakób) dali nam postacie żywe i typowe, wysoce komiczne a zarazem utrzymane zawsze we właściwej mierze, chociaż panią D. prosiłobyśmy o pewne lekkie umiarkowanie przesadnej ruchliwości; zresztą jednak artyści, mający w swych rękach do odtworzenia postacie bledsze, ale zarazem dosyć ciekawe, mało ku temu łżyli trudu, a niektórzy nawet w chwilach, gdzie płacz na miejscu, pozwalali sobie niewczesnych śmieszków, czego nie wolno się dopuszczać w sztuce Moliérowskiej, chociażby rola była tak mało znacząca, jak rola — Elizy.

Wole w panu Rapackim widzieć przedstawiciela Moliéra, niż Szekspira. We środę (d. 22. b. m.) grał Jagona w „Otellu“. W kilku już miejscach pisałem obszerniej, jak pojmuję tę postać i jaki rodzaj gry może jedynie ją uprawdopodobnić. Nie pora mi dziś już wykazywać szereg niekonsekwencji psychologicznych, w jakie popaść musi artysta, pojmując rolę Jagona tak, jak to uczynił p. R. Jeden tylko ton wydał nam się w grze jego całej właściwie ujętym i w dwóch pierwszych aktach jednolicie przeprowadzonym — ton rozpustnego cynizmu... Na dwa też pierwsze akty on wystarcza. Gdy jednak Jago powikłaniem przez się stworzonym, potęguje się sam w postać o szatańskim zakroju, trawioną wewnętrznym niepokojem i nabiera z każdym nowym zpiętrzeniem się trudności tem sprężystsze zacięcia w zbrodni, p. R. grał te sceny z apatyczną flegmą, nie przedstawiając nam postaci w jej stopniowym rozwoju i pozabawiając ją tem samym poetycznego interesu. Można być „nałogowym“ pijakiem, ale na scenie „nałogowy“ morderca nie jest pomysłem ani bystrym, ani dramatycznym, ani pięknym... *Bronisław Zawadzki.*

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

ODCZYTY. W Sobotę (d. 18 b. m.) miała w sali ratuszowej odczyt pani Stefania Wechslerowa: „O Wiktorze Hugo.“ Był to jeden z najgruntniejszych odczytów, jakie słyszeliśmy. Pani W. pragnęła w nim obronić tego wzniosłego i czułego poe od czynionych mu ustawicznie zarzutów czułości w pomysłach a emfazy w wyrażeniach. Od czasów Juliana Szmida nepotyczna

krytyka lubowała się w podobnem traktowaniu najszczytniejszych utworów Hugona. Jest to dobrze, że rehabilitacya poe, sprzyjającego tak bardzo Polsce i ludzkości, wyszła z ust Polki — i to w tak świetny, tak zaoczny sposób. Głębokie swe poglądy na ducha Hugonowskiej poezji wypowiedziała prelegentka językiem obrazowym bez przesady i poetycznym bez patosu. (Br. Z.)